

SIERŻANT   
 JASZCZUŁD.

OPOWIEŚĆ

z czasów wojen napoleońskich

o o o o o o o o przez o o o o o o o o

Tadeusza Zubrzyckiego.

A 611



Czerniowce, 1907.

Nakładem „Gazety Polskiej”.

Z drukarni uniwersyteckiej R. Eckhardta (Józef Mucha).



I.

Gościńcem ze Lwowa do Brzeżan wiodącym pomykał szczupły oddział polskiej kawaleryi. Był to początek czerwca sławnego 1809 roku — w powietrzu było jakoś parno i duszno, słońce piekło czerwonym żarem, a kurz pokrył grubą warstwą amarantowe rabaty i błyszczące kaska ułanów, jednak ani wirusy, ani jadący na czele młody szef szwadronu pan Piotr Strzyżowski, mimo nieznośnego gorąca nie tracili jakoś fantazyi i humoru. Bo i czegoż? Bili się pod skwarnem niebem Italii, nocowali na piaskach Egiptu, z bronią w rękę przeszli całe Niemcy, niejeden z nich na San Domingo z żółtą febrą się borykał. Szli zapatrzeni w złote orły wielkiego cesarza, szli przez cudze kraje bijąc się z różnymi narodami, często bosy, zgłodniali, obdarci, nie bacząc na krew i na rany, rozsiały po całym świecie kości tyłu poległych towarzyszy, a wszystko dla Tej uwielbionej, którą wielki cesarz przyrzekł do życia przywrócić.

Trąbka wydzwania dziarskiego krakowiaka. Wieczór się zbliża, od zachodu miły wietrzyk pociąga, po szeregach wesoły pomruk idzie — ten i ów fajkę zapala.

Rzewność ogarnia naszych ułanów. Minęły bezpowrotnie dni nędzy i głodu, dziś oni w własnym kraju, za jego wolność się biją, a jeśli któremu zginąć sądzono, to rodzinną ziemią go przysypią i w niej go na wieczysty odpoczynek złożą.



68594

R-249/76/74945

Szelma Borysiewicz, trębacz szwadronowy, tak ci od ucha różne melodye przygrywa, że ręka mimowoli za lanęę chwytą i szablę się ima. Gdyby tak białe mundury na drodze się zjawiły, skoczyliby ułani jak piorun i na kopytach by ich roznieśli. Czyż to takie dziwo dla nich pobić Austryaka? Wszak oni pod Raszynem stawili czoło pięciokroć od nich liczniejszym siłom arcyksięcia Ferdynanda, oni pobili jego armię pod Górą, z bagnetem w rękę wzięli forty Sandomierza i warowne mury Zamościa, oni to w przeciągu miesiąca całą nową Galicyę i zachodnią część starej z pod niemieckiego panowania uwolnili.

Wysłał ich teraz książę Józef na uwolnienie wschodniej Galicyi. Wysłał jeden szwadron 3-go pułku ułanów przeciw całemu korpusowi jenerała Bückinga. Jeden szwadron, — bo więcej nie miał do rozporządzenia. Jeszcze po raszyńskiej bitwie powiedział pan Henryk Dąbrowski: „Przyszli Niemcy w goście do nas — chodźmy my do nich.“ Więc poszli i ułany i piechota i wołyżery, — poszli starzy legioniści z pod Mantui, z pod Novi i z pod Marengo, poszli świeżozaciężni rekruci Księstwa Warszawskiego.

Bez wystrzału brali fortece, w kilku lub w kilkunastu brali miasta, z których bez walki uchodził nieprzyjaciół, ich pochód w głąb Galicyi była to cudna epopea, przepiękny cykl rycerskich rap-sodów godny pióra największego z wieszczów.

Książę Józef wyprawiając ów szwadron na zorganizowanie powstania we wschodniej Galicyi wiedział kogo mu daje na dowódcę. Na czele szwadronu złożonego w przeważnej części ze starych osiwiałych w boju wiarusów, stał młody wprawdzie wiekiem, lecz wytrwały i doświadczony żołnierz, szef Piotr Strzy-

żowski. W szwadronie Strzyżowskiego służyli dzielni porucznicy Zakrzewski i oficer z austriackiego wojska Jan Kopestyński, oraz starszy sierżant Jan Jaszczułd, człowiek bezgranicznie zuchwały i do szaleństwa odważny. Wiódł więc pan Strzyżowski cały zastęp zuchów, na których mógł liczyć w każdej potrzebie.

Słońce zwolna kryło swą czerwoną tarczę za górami. Na gościńcu ukazała się wielka karczma zajezdna, na którą wiarusy znacząco spoglądać poczęli.

— Zdałoby się wytechnąć odrobinę — mruknął pan szef do porucznika Zakrzewskiego, — ludziska i konie okrutnie pomęczeni.

— Jak pan szef uważa — odparł Zakrzewski.

W kilku sekundach dosięgli karczmy i nim jeszcze komenda zabrzmiała, konie zatrzymały się przed nią mimowoli.

— Szwadron stój! — rozległ się chrapliwy głos pana szefa. — Z koni wiarusy!

Z karczmy wybiegł żyd, zmięty, pokorny, we dwoje zgięty, uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

— Cóż żydzie, Austryaki są? — huknął pan szef groźnie.

— Byli, jaśnie panie pułkowniku, byli i poszli — odrzekł żyd kłaniając się jarmułką aż do ziemi.

— Które dy?

— Nu, oni teraz uciekają przed panami na Zaleszczyki i tam się w gromadę zbierają.

— Dużo ich tu było? — badał Strzyżowski dalej.

— Była cała kompania, samej piechoty. Oni z Podkamina przyszli, bardzo byli pomęczone, a takie bali się zostać. Może dwie godziny będzie jak pomaszzerowali.

Strzyżowski spojrział na żyda bystrym wzrokiem.

— Prawdę mówisz bratku?

Stary żyd podniósł na Strzyżowskiego szare, wyblakłe oczy i wytrzymał srogie badawcze spojrzenie pana szefa.

— Za starym już panie, ażebym lgał — rzekł z wyrzutem w głosie. — Posługiwałem jeszcze panom Puławskim, za dawnych, lepszych czasów.

Srogość pana Strzyżowskiego stopiła się jak lód pod promieniami słońca.

— No, nie gniewaj się stary — przemówił miękko pojednawczym tonem, — bo uważasz, nie każdemu dziś wierzyć można. Więc powiadasz, że poszli białe pludry?

— Poszli panie pułkownika.

Strzyżowski obejrzał się po szwadronie. Ułani byli znużeni, zbiedzeni, kurzem okryci, konie dyszały ciężko. Szefowi żal się zrobiło i ludzi i koni.

— Wiarusy — kto na ochotnika skoczy za Austryakami dowiedzieć się którędy poszli?

Z szeregu wystąpił ułan jak dąb rosły i wysoki, z wąsami jak wiechcie.

— Ja panie szefie — rzekł salutując.

— Brawo Jaszczułd — rozśmiał się Strzyżowski, tyś zawsze niestrudzony.

— Pracuję na szlify oficerskie panie szefie, trzeba na nie rzetelnie zarobić.

— Kto z tobą?

— Borysiewicz panie szefie. Będzie mi trąbił przez drogę.

— Więc na koń i w skok za nimi póki noc nie zapadnie.

Jaszczułd brzęknął ostrogami i w mgnieniu oka był już na koniu. Nim się ułani obejrzeliby sierżant Jaszczułd i trębacz Borysiewicz znikli w kurzu.

II.

Słońce zapadało już za dalekie góry i lasy, gdy Jaszczułd wraz z trębaczem Borysiewiczem zatrzymali się na wzgórku, na którym stał młyn stary, prawdziwie polski młyn z wiatrakami.

Sierżant bystrem okiem lustrował okolice. Hen w dali szarzała wioska, ku której jak z bata strzelił szedł od młyna prosty, równy gościniec. Dalej z lewej strony biegła ku młynowi wązka polna drożyna, idąca wprost od pobliskiego lasu.

Nozdrza sierżanta wciągały z lubością świeżą i miłą woń czerwcowego powietrza, co szło od lasu i od rozległych podolskich łąnów.

— Borysiewicz — ozwał się sierżant przeciągając się w siodle, — co, pachnie? ha?

— Według rozkazu, panie sierżancie — odparł trębacz przykładając rękę do kaska.

— Psia mać morowa — mówił sierżant, — piękna ta nasza ziemia, — kawał kraju nasze Podole, nie sporo się z niego Niemiaszkom wynosić.

Rozśmiał się mimowoli i uderzył dłonią po udzie.

— Borysiewicz, prawda co to się nieraz tam w Italii przemarzyło? Pamiętasz — dwanaście lat temu, jakieśmy Weronę wzięli, tam gdzie brygadyer Liberadzki kulą dostał, — pamiętasz jak to się wówczas wiara z kraju do nas porywała? Przyszli generał Kniaziewicz, Wielhorski, Forestier, Zabłocki, Drzewiecki. Żyło się, chociażśmy obaj w piechurach służyli, a człek głodny, bosi i obdarty chodził. Mówił pan Rymkiewicz: „wiara, lada dzień przez Węgry do kraju ruszymy“. Cieszyliśmy się jak dzieci, wiarusy płakali z radości. No i co? Zawarto pokój, a my znów poszli na nędzę i poniewierkę. Tyle lat...

Łza błysła w oku sierżanta, trzebażowi łzy jak groch duże spływały na szpakowate wąsy.

Sierżant szybko otarł łzę kułakiem.

— Borysiewicz, beczesz jak baba — burknął, — nie roztkliwiaj się stary karabinie!

Naraz podniósł się w strzemionach i bacznie spojrzął w dal.

Na gościńcu bieląca długa linia szybko idących ludzi.

— Austryaki — rzekł przyciszonym głosem, — spoczywali w zbożu psiepary, a teraz zmykają dalej.

— Austryaki — bąknął trębacz przez zęby.

Naraz maszerująca kolumna zmieniła szyk i poczęła co siłą uciekać.

Jaszczuśd nie mógł wyjść z podziwienia.

— A tym co się stało? Uciekają jak zające. Przecież nas nie dostrzegli, bo jesteśmy młynem osłonięci.

Zagadka wyjaśniła się po chwili. Boczną drożyną gnali pastuchy z pola stado owiec, które biegnąc dość szybko wzbijały tumany kurzu. Wiatr niósł kurz ku stronie austryackiej kolumny, a ta widocznie wzięta owce za jakiś nieprzyjacielski oddział.

Obaj wiarusy wybuchnęli homerycznym śmiechem.

— Uciekają przed owcami, — huknął sierżant, — Borysiewicz, bratku, trąb od ucha: „do ataku!“

Wśród ciszy wieczornej zabrzmiał metaliczny, dźwięczny głos trąbki.

Sierżant z trębaczem galopem ruszyli ze wzgórze.

— Szwadron baczność! — komendował sierżant stentorowym głosem, — puszczaj cugle do ataku broń!

Stadko owiec dobiegło gościńca i przerażone widokiem nadbiegających w

galopie dwóch jeźdźców zatrzymało się i zbiło się w kłęb bezradnie.

— Chłopie — ryknął sierżant do nie mniej od owiec przerażonego pastucha, — gnaj stado środkiem gościńca, bo ci łeb rozplątam!

Parobczak nie dał sobie powtórzyć rozkazu. Zawinał batem i owce ruszyły, za uchodzącymi Austryakami.

Trębacz grał od ucha, sierżant grzmiał, komenderował jak opętany.

Popłoch w uciekającej kolumnie zwiększał się z każdą chwilą. Żołnierze uciekali co im siłą starczyło, wielu rzucało broń do rowu, byle tylko łacniej ująć pogoni. O stawieniu oporu nikt nie myślał, od kapitana począwszy, a skończywszy na ostatnim szeregowcu. Byli przekonani, że cały pułk jazdy na nich następuje.

A Jaszczuśd siedział im już na karku i rąbał szablą tylne szeregi. W końcu przesadził rów i obiegłszy kolumnę odciął uchodzący w tyle pluton.

Z groźnie zmarszczoną brwią stanął na środku gościńca i wzniosłszy szablę w górę ryknął piorunującym głosem:

— Krzyczcie: „pardon“, bo każę was w pień wysiekać!

Dowodzący garstką młody lajtnancik nie namyślał się długo. W tyle rozlegały się coraz bliższe tony trąbki i tentent pędzących owiec i konia, reszta towarzyszy nie troszcząc się o odciętych uciekała dalej. Obejrzał się po swych żołnierzach, a widząc, że ci nie mają najmniejszych zamiarów i chęci stawiać opór groźnym ułanom, kazał broń złożyć.

Dwudziestu niemieckich żołnierzy z oficerem na czele złożyło broń przed jednym ułanem.

Pędem nadjechał Borysiewicz.

— Borysiewicz, — huknął sierżant, — zbieraj karabiny — przydadzą się nam, — a wy bratkwie — do Austryaków się zwrócił — naprzód, marsz! Parami iść, a niech żaden się nie odwraca, bo kulą łeb rozstrzaskam. Ruszaj!

Jeńcy w milczeniu ruszyli w pochód. Za nimi z szablą na temblaku z odwiedzionym pistoletem w rękę jechał sierżant, w tyle trębacz Borysiewicz wiódł swego konia objuczonego zdobytymi karabinami.

Sierżant był wesół — kpił z jeńców, parobczakowi, który owce pędził rzucił dwa złote mówiąc:

— Bywaj zdrów chłopie, a pamiętaj, że przed twoimi owcami niemieckie wojsko uciekło.

Tegoż dnia w późną noc gwarnie i wesoło było w obozowisku ułanów, gdy Jaszczuła z jeńcami powrócił. Śpiewano hulaszce piosnki, pito i wiwatowano, sam pan szef Strzyżowski poklepał Jaszczuła po ramieniu i wypił kubek gorzałki na jego cześć.

III.

Szwadron szefa Strzyżowskiego szedł przez Podole z wierzchami w zawody. Austriacy ustępowali przed nim bez boju, cofając się na Zaleszczyki, gdzie stary Bücking gromadził swe siły. Strzyżowski owacyjnie po drodze witany, bez wystrzału zajął Brzeżany, stamtąd zwrócił się na Złoczów i przez Zarwanicę, Płuchów, Zborów i Jeziernę zdążył do Tarnopola. Po drodze ze wszech stron Galicyi napływali licznie uzbrojeni ochotnicy, zelektryzowani odezwą ks. Józefa Poniatowskiego nawołującą do czynu. Pan Strzyżowski brał tych ochotników w żelazne karby wojskowej dyscypliny i for-

mował z nich bądź piesze, bądź konne oddziały. W Tarnopolu, z którego również bez boju ustąpiła austriacka załoga, połączyły się z nim partyzanckie oddziały prowadzone przez Hohendorfa, Czosnowskiego i Rozwadowskiego, przybyło nadto kilkuset włościan - kosynierów. Szczupły oddziałik Strzyżowskiego z każdym dniem wzrastał w siły, — w drugiej połowie czerwca liczył około 1.500 doskonale uzbrojonych ludzi, strzelców i kawaleryi, a oprócz nich czterystu kosynierów.

Z za Wisły, gdzie się toczył główny bój między siłami ks. Józefa Poniatowskiego, a wojskiem austriackiem dowodzonym przez arcyksięcia Ferdynanda, dochodziły do Tarnopola najrozmaitsze i najróżnorodniejsze wieści. Najpierw przyszła wieść o starciu pod Wrzawami, gdzie szczupła armia książęca pomimo liczebnej przewagi Austryaków, utrzymała się na stanowisku, zaś w kilka dni później jak z jasnego nieba spadła wiadomość o zdobyciu Sandomierza. Ukrywający się w Tarnopolu austriacy szpiegowie, chcąc zniechęcić patryotyczne obywatelstwo, opowiadali niestworzone rzeczy o wielkiej klęsce cesarza Napoleona pod Aspern, o tem, że arcyksiążę osaczył już ze wszech stron armię ks. Józefa i że lada dzień zmusi ją do poddania się i o tem, jak w Sandomierzu generał Sokolnicki z całą polską załogą sromotnie broń złożył.

Aż przyszła wieść jeszcze straszniejsza. Dowiedziano się, że Austriacy zajęli już Rzeszów, Jarosław i wkroczyli do Lwowa. Dowodzący nimi generał Engermann zrzucał wszędzie świeżo zawieszane francuskie orły, przywracał dawne władze i zakuwał w kajdany szlachtę należącą do organizacyi rządu narodowego. Wojska polskie pozostające pod wodzą generałów Roźnieckiego i Kamińskiego cofnęły się na Żółkiew.

Komunikacya z głównemi siłami polskimi ustała. Zwycięski oddział Strzyżowskiego ujrzał się odciętym. Odwaga patryotycznej braci szlachty ulotniła się jak dym, — jaki taki z panów braci zmykał z obozu obawiając się zemsty podnoszącej już głowę austriackiej biurokracyi.

Szef Strzyżowski nie dał jednak za wygraną. — Co będzie, to będzie — rzekł do swych oficerów — mamy broń w rękę — jeśli nam zginąć wypadnie, zginieemy z honorem.

Wyprawił na zwiady pod Lwów franta Jaszczułda, a sam dalej ćwiczył i organizował swój korpusik.

Poszedł Jaszczułd pieszo w chłopskim przebraniu. Minął tydzień, ani o nim widu, ani słyhu. Żwątąpił już i pan Strzyżowski, przekonany, że dzielny żołnierz wpadł w ręce austriackich patroli i oddał ducha pod kulami.

Aż jakoś dziewiątego dnia zjawił się Jaszczułd w kwaterze szefa. Był obdarty, obłocony, zbiedzony i zgłodniały, ale twarz jego promieniała radością.

Wszystkie wieści szerzone przez Austryaków okazały się nieprawdziwe. Sandomierz wprawdzie się poddał, gdyż nie zdołał się utrzymać wobec przewagi sił nieprzyjacielskich, jednak Sokolnicki zawarł honorową kapitulację i z bronią i ryszunkiem przy zapalonych lontach armatnich opuścił fortecę. Austriacy ustąpili już z Warszawy, a korpus generała Zajączka przeprawiwszy się przez Wisłę pod Puławami, połączył się z księciem Józefem. Równocześnie z Wielkopolski nadciągnął generał Dąbrowski na czele siedmiotysięcznego korpusu. Książę Józef naznaczywszy swemu wojsku punkt zborny w Radomiu, stał obecnie na czele 23.000 ludzi. Wpraw-

dzie korpus Engermanna stoi obecnie we Lwowie, jednak nie ma odwagi nosa wychylić poza mury miasta. Armia polska lada dzień wyruszy na Kraków.

Pan Strzyżowski wysłuchawszy raportu Jaszczułda uderzył z fantazyą po szabli, podkreślił wąsa i rzekł gromko:

— Mości sierżancie, spisałeś się gracko, ani słowa. Szlify oficerskie cię nie miną. Każ trąbić wsiadanego, ruszymy pod Zaleszczyki, złożyć wizytę generałowi Bückingowi.

IV.

Pełni ufności w siebie ruszyli niewyćwiczeni i z wojskowym rzemiosłem nieobeznani jeszcze ochotnicy, pod wodzą pana Strzyżowskiego przeciw Austryakom. Strzyżowski wiedział dobrze z kim ma do czynienia. Pod Zaleszczykami leżał obozem stary Bücking, doświadczony wódz jeszcze z wojny z Turkami, mający pod swymi rozkazami prawie cztery tysiące starego żołnierza i odpowiednią ilość armat. Pan Strzyżowski liczył jednak na poświęcenie, patryotyzm i zapał swych ochotników, a przytem chciał ich wyrobić i niejako zahartować do tej zawziętej partyzanckiej walki, którą rozpocząć zamierzał. Panu szefowi marzyły się pułkownikowskie szlify, a najbardziej piękne oczka nadobnej Emy Potockiej, z którą się poznał przed niedawnem i do której gorącym efektem zapłonął. Dotąd nie miał odwagi zbliżyć się do swej wybranej. Czem był bowiem dla panny pochodzącej z magnackiego domu on mizerny szlachetka, na lichej wioszczynie siedzący i szef szwadronu, którego nawet miesięczna lafa żołnierska z powodu ubóstwa skarbu

Księżstwa Warszawskiego, nieregularnie dochodziła.

W wyprawie na Podole widział pan Strzyżowski jedyną sposobność do odznaczenia się i zdobycia sławy.

— Odznaczę się lub głową nałożę — rzekł do siebie.

Pełen rycerskiej fantazyi ruszył wprost na Zaleszczyki i stanąwszy Bückingowi oko w oko, wysłał doń parlamentarza i zawezwał Austryaków do poddania się i złożenia broni. Ale stary generał ze śmiechem odrzucił propozycyę zuchwałego partyzanta i sprawiwszy wojsko w szyk bojowy, wyszedł z miasteczka.

Rozpoczął się nierówny bój. Ruchawka i ochotnicy, stanowiący główną siłę Strzyżowskiego, nie wytrzymali kartaczowego ognia z dział i natarcia węgierskich huzarów i pierzchli w nieładzie. Zrozpaczony Strzyżowski z swymi ułanami i garścią strzelców Hohendorfa, którzy dotrzymani placu, zwolna cofał się, odcinając się gęsto następującym Austryakom. Dopiero za Horodenką, pościg ustał i Strzyżowski mógł zebrać swe rozprószone siły.

Jednak nie stracił otuchy.

— Muszę Bückinga zniszczyć — rzekł do porucznika Zakrzewskiego. — Nie udało mi się pokonać go w otwartem polu, wykruszę go podjazdami.

Oddział partyzancki można szybko rozprószyć, jednak rozprószone jeszcze szybciej się zbiera. Ufny w odniesione zwycięstwo generał Bücking śmiało podążał za Strzyżowskim, rozestawszy na wsze strony silne patrole i podjazdy. Chciał go do reszty rozbić i rozprószyć.

Ale pan Piotr było gracz nad gracje. Podzielił swych ułanów na drobne

oddziały i naznaczywszy im punkt zborny w Buczaczu, rozsypał ich po całym Podolu. Sam z piechotą i ochotniczą kawaleryą maszerował tuż przed nosem austriackiego korpusu.

Na trzeci dzień po bitwie pod Zaleszczykami powróciły wysłane patrole do głównego austriackiego obozu. I huzary i dragoni byli niezmiernie przeżęci. Ułanów widziano wszędzie — i w Horodence i w Gwoźdźcu i w Obercynie. Porucznik dowodzący jednym z huzarskich patroli zraportował generałowi, że w Gwoźdźcu napadł go oddział polskich ułanów przez sierżanta Jaszczułda prowadzony i wyciął mu osmnastu ludzi.

Stary wódz zachodził w głowę. Nie mógł pojąć w jakim celu Strzyżowski rozdrabnia swe siły.

— Widocznie idzie w przedniej straży, a za nim maszeruje cała siła „prince” Poniatowskiego — mówił do swego sztabu. — Nie innego, tylko ciągnie nas w zasadzkę. Musimy być ostrożni.

Ledwie Austriacy późnym wieczorem rozłożyli się obozem, na forpocztach zagrzmiały gęste wystrzały pistoletowe. Dwudziestu kilku ułanów z wraskiem okrutnym: „bij, zabijaj!” zaatakowało wedety i porwawszy dwóch stojących na straży dragonów, znikli w ciemnościach nocy.

To Jaszczułd wojował na własną rękę.

Na drugi dzień wczesnym rankiem napadnięto tylną straż. Idący w tylnej straży oficerowie dragonów zaklinali się przed generałem, że atakował ich cały szwadron polskich ułanów.

Zniecierpliwiony Bücking kazał zawezwać do siebie majora Harnischera,

który uchodził w jego korpusie za naj-
tęższego oficera.

Harnischer stanął przed nim wyprę-
żony jak struna, oczekując rozkazów.

— *Herr Major* — rzekł generał, —
ufam Pańskiej zdolności i wojskowemu
doświadczeniu. Weźmiesz pan batalion
piechoty i pół szwadronu dragonów i
ruszysz przodem. Zadaniem Pańskim bę-
dzie się przekonać, czy za oddziałem
Strzyżowskiego ukrywają się jakie znacz-
niejsze siły polskie, czy też nie. Jeśli
Strzyżowski sam operuje, uderzymy na
niego i zetrzemy go w proch. *Ver-
standen?*

Major Harnischer zasalutował po
wojskowemu i odparł gromko:

— *Zu dienen Exzellenz!*

Tegoż dnia jeszcze ruszyła z austry-
ackiego obozu wyprawa złożona z ba-
talionu piechoty, wśród którego znajdo-
wała się kompania co najtęższych w ca-
łym korpusie grenadyerów. Wraz z nimi
wyszły dwa eugi dragonów, olbrzymich
chłopów na schwał, w białych, kolistych
płaszczach i w błyszczących hełmach na
głowach. Wyszli przy odgłosie trąbek i
bębnów, ze śpiewem na ustach. Na czele
oddziału jechał major Harnischer, hardo
wsparty na łęku siodła. Skinieniem
głowy i uśmiechem zegnał pozostających
przy korpusie oficerów, ufny sam w siebie
i w swych żołnierzy. Zdawało mu się,
że jedzie zbierać łatwe wawrzyny.

O jednej tylko rzeczy zapomniał.
O tem, że połowa żołnierzy jego oddziału
składa się z galicyjskich Polaków, którzy
przy pierwszej sposobności, na widok
ułańskich mundurów i czerwono-białych
chorągiewek porzuca czarno-żółty sztandar
i połączają się z braćmi, na których z
utęsknieniem tyle lat czekali.

V.

Major Harnischer byłto odważny
oficer. Nie strachał się byle czego. On już
przedtem wiedział dobrze, że Strzyżowski
sam się uciera z austriackiem wojskiem
i że księciu Józefowi nawet się nie śni
do wschodniej Galiayi wchodzić. Zmiar-
kował, że nie da się wywieść w pole, z
drugiej strony jednak był przekonany, że
szwadron regularnego wojska jaki Strzy-
żowski miał do rozporządzenia, nie oprze
się batalionowi piechoty i dragonom. Ru-
chawkę galicyjską lekceważył sobie. Po-
stanowił bądź co bądź odszukać Strzyżo-
wskiego i rozbić jego oddział.

Ale i partyzanci się nie kryli. Wpra-
wdzie pod naporem całego korpusu Bückin-
ga przeszli na lewy brzeg Dniestru, lecz
ledwie Strzyżowski zasłyszał, że przezor-
ny Bücking cofnął się ku Kołomyi, a
Harnischera wysłał na obserwowanie jego
ruchów, postanowił skorzystać ze spo-
sobności.

Z obozu polskiego pod Chmielowem
ruszyła przeciw Harnischerowi wyprawa
złożona z dwustu strzelców, których
wiódł dzielny kapitan Hohendorf i z
czterdziestu ułanów dowodzonych przez
porucznika Zakrzewskiego.

Słońce piekło prawdziwie lipcowym
żarem, gdy kolumna Harnischera stru-
dzona sześciogodzinnym marszem zatrzy-
mała się w gumnach dworskich pod Ho-
rodenką. Major obojętnie pozycyę,
uznał ją za stosowną do chwilowego od-
poczynku. Wysoki płot z chrustu otaczał
gumna dokoła — schronienie zdawało się
bezpieczne. Ledwie zabrzmiała komenda:
„spocząć!“ strudzony żołnierz rzucił kara-
bin i pod cieniem płotu i zabudowań
szukał schronienia przed palącymi pro-
mieniami słońca. Pozapalono fajki, ofice-
rowie wydobywali manierki z wine m



wielu pozrzuciło zwierchne ubrania, — rozkoszowano się odpoczynkiem w całej pełni.

W tej samej chwili w polu, zatrzymali się również ułani Zakrzewskiego, nie przypuszczając nawet, że Harnischer jest tuż przed nimi. Piechota powstańcza szła w tyle, nie mniej od Austryaków zziębnięta i zmęczona.

Jadący na przodzie plutonu sierżant Jaszczuła zauważył zabudowania dworskie i zwróciwszy się do porucznika Zakrzewskiego rzekł głośno:

— Chyba tam staniemy panie poruczniku.

Zakrzewski skinął głową.

— Odpoczniemy w tych szopach — odparł, — zaczekajmy tylko aż nasze piechury nadążą.

Wiatr przyniósł ód strony gumna do ich uszu gwar zmieszanych głosów. Zaciekawiony sierżant nadstuchiwał pilnie, pokręcił głową i ozwał się znowu:

— Ej, coś tam strasznie gwarnie w tych gumnach.

Zakrzewski machnął ręką z lekceważeniem.

— Wiecznie coś wietrzysz sierżancie. Gwarnie, bo gwarnie. Zwyczajnie — robota w polu, teraz południe, więc ludzie odpoczywają.

Jednak nie mniej pilnie od Jaszczuła wpatrywał się w odległe o kilkaset kroków zabudowania.

— Hm, — mruknął po chwili, — dym nad gumnami. Coś niby z fajek, lub od ogniska.

Naraz Jaszczuła chwycił porucznika za ramię.

— Panie poruczniku — mówił szybkim głosem, — patrzcie — tam, tam.

To mówiąc wskazywał ręką na drogę w pole wiodącą.

Zakrzewski spojrział w wskazanym kierunku.

— Widzę — rzekł po chwili, — to pewnie ekonom konno z pola powraca.

— Dyabła tam ekonom. To dragon austriacki. O, widać jak hełm błyszczy się do słońca. Stoi na widocie.

Ułani poczęli również przysłaniać oczy rękami i przypatrywać się jeźdźcowi.

— Dragon, jak Boga kocham dragon panie poruczniku — ozwał się w końcu stary wiarus Czyżyk.

Teraz i Zakrzewski rozpoznał jeźdźca.

— Lance w dół wiarusy — huknął ostro, — kaska z głowy — jeszcze nas szelma nie zauważył. Cofnąć się trochę.

Nadciągnął wreszcie Hohendorf ze strzelcami. Złożono naprędce radę wojenną.

— Nie ma się co namyślać — zakonkludował Hohendorf, — dyabły czy Austriacy — wszystko jedno. Nie musi ich być tak wiele, jeśli się w tych gumnach zmieścili.

Rozdzielił oddział na dwie połowy i poleciwszy żołnierzom ruszać biegiem, uderzył wprost na zabudowania.

Widety austriackie spostrzegły nacierających i dawszy ognia pomknęły ku swoim. Nie było sposobu podejścia ich w biały dzień, w otwartym polu.

Na odgłos strzałów, w obozowisku powstał chwilowy popłoch. Lecz po chwili surowy, grzmiący głos Harnischera opamiętał żołnierzy i z całą sprawnością stanęli w szeregach. Obsadzili płot i zabudowania dworskie i z bronią do strzału gotową oczekiwali ataku.

Krótką chwilą milczenia, którą prze-rwał chrapliwy głos trąbki i piechota

Strzyżowskiego z pochylonym bagnetem uderzyła na Austryaków.

Karabinowa salwa wstrząsnęła powietrzem — kilkanaście ciał drgając konwulsyjnie tarzało się po ziemi. Zawrzał bój zacięty, rozpaczliwy — Polacy chcąc zmyć zaleszczycką klęskę atakowali z zajądłością, niemniej zjadale bronili się austriacki żołnierz osłonięty płotem i deskami zabudowań, strzelający do powstańców jak w tarczę.

Zguba polskiego oddziałku zdawała się być nieuchronną — porucznik Zakrzewski przyskoczył koniem do Hohendorfa i zawołał rozpaczliwie:

— Ustępujemy w pole, bo wystrzelają nam ludzi jak kaczki na stawie.

W tej chwili Jaszczułd stanął przed obu oficerami.

— Panie poruczniku — ozwał się salutując Zakrzewskiemu, — piechotę ich nie weźmiemy. Zażyję ich ułańską sztuką.

— Rób co chcesz — odparł Zakrzewski, — chociaż szkoda naszych wiarusów.

Jaszczułd piorunem skoczył ku ułanom.

— Wiara — huknął gromko — dwudziestu zuchów na ochotnika za mną!

Cały oddział ułanów ruszył z miejsca.

— Pal dyabli — wrzasnął Zakrzewski — idę i ja z wami. Jaszczułd komenderuje.

To rzekłszy porucznik stanął w szeregu obok trębacza Borysiewicza.

Jaszczułd raz jeszcze ogarnął wzrokiem garść ułanów.

— Mości poruczniku, Borysiewicz i ty Czyżyk, stawajcie obok mnie — pierwsza czwórka. A wy wiarusy czwórkami za nami, trzymać mi się w siodłach mocno, bo kto z konia spadnie tego już i sam Pan Bóg nie wyratuje. Do ataku broń! Galopem!

I jak piorun runął z ułanami wprost na płot osłaniający Austryaków.

Stary płot zatrzeszczał pod naporem pędzących w galopie koni i zwałił się na ziemię. Ułani wpadli jak burza w sam środek austriackiej piechoty.

— Bij! — ryknął Jaszczułd na całe gardło.

Major Harnischer, który nie przypuszczał nawet, że Polacy zdecydują się na tak szalony atak, biegł na czele dragonów wprost ku ułanom. Ale i piechota polska przebyła już płoty i rozrywała bagneta-mi broniących się na gumnisku Austryaków.

Ułani przebili się lancami przez gęstą kolumnę piechoty i zderzyli się z dragonami. Jaszczułd poznawszy majora po złotym kołnierzu i białym piechotnym kabacie, wychwycił pistolet z olstry i wzięwszy go na cel dał ognia.

Pomimo ciżby i tłoku strzał był celny. Major otrzymawszy postrzał w nogę, a niemal równocześnie pchnięcie lancy starego Czyżyka w pierś, dotkliwie ranny zsunął się z konia.

Teraz Austriacy stracili głowy — zapanował straszliwy zamęt. Naprózno ranny Harnischer zerwał się z ziemi i podpierany przez dwóch oficerów, usiłował wprowadzić jaki taki ład między strwożonem żołnierstwem. Jedyna nadzieja była w kompanii grenadyerów, która pod komendą starego Czecha kapitana Złamy stała w odwodzie jeszcze nietknięta. Polacy wszystkie swoje siły rzucili w bój — świeży żołnierz śmiałem natarciem mógł przeważyć szalę zwycięstwa na stronę austriacką.

Zrozumiał to porucznik Zakrzewski i skrzyknawszy kilkunastu ułanów uciekających się z dragonami, sformował ich

w jeden szereg i ruszył w skok ku idącym do ataku grenadyerom.

Przed frontem tych olbrzymich żołnierzy, w niemniej olbrzymie bermyce przystrojonych szedł pieszo kapitan Zlama, z nagą szpadą w ręku. Ujrawszy przed sobą ułanów o jakie dwadzieścia kroków, machnął szablą i zakomenderował spokojnym jak na mistrze głosem:

— *Erster Glied habt acht! Feuer!*

W szeregach zawahano się, zaczęły odwodzone kurki, lecz zaledwie dwóch czy trzech grenadyerów dało ognia.

— Stój! nie strzelać! — krzyknął ktoś w tyle, — to nasi bracia!

Ułani widząc jakieś wahanie się w grenadyerskich szeregach, wstrzymali konie. Zakrzewski podjechał bliżej i stanąwszy strzemionach jął perorować na całe gardło:

— Bracia, rodacy, my do was idziem wolność wam zwiastować. Porzucajcie niemiecką służbę łączcie się z nami. Niech żyje Ojczyzna!

Grenadyerzy jak na komendę podnieśli karabiny w górę.

— Idziemy do was — wołał jeden z nich, — dość mamy kijów i psiej służby. Precz z Niemcami!

Kapitan Zlama czerwony z oburzenia skoczył przed front zbuntowanej kompanii.

— Co to jest, bunt! — wrzeszczał. — *Procz nie strzelacie? Czy nie wiecie co to jest Kriegsrecht i...*

Nie dokończył — któryś z grenadyerów pchnął go bagnetem, a kapitan niemal bez jęku runął na ziemię.

Wśród radośnych okrzyków grenadyerzy połączyli się z ułanami. Zwycięstwo było już niechybne. Dragoni widząc co się dzieje pierzohli z pola,

część żołnierzy przeszła na stronę Polaków, uporczywie broniących się Czechów i Niemców wycięto w pień. Major Harnischer ranny, opuszczony przez swych żołnierzy, dostał się do niewoli.

Jeszcze przed zmrokiem oddział Hohendorfa wzmocniony zbiegami z austriackiej armii, objuczony zdobytą bronią, podążał z powrotem do Chmielowa.

Niedobitki dragonów przyniosły tegoż wieczora staremu Bückingowi wieść o strasznym pogromie.

Jenerał drząc z oburzenia postawił, w tej chwili cały obóz na nogi i kazał ruszać w pochód za Polakami.

Dyszał zemstą.

VI.

Szef Strzyżowski siedział w swej kwaterze w zagrobelskim dworze w towarzystwie kilku oficerów i słuchał sprawozdań panów Rzyszczewskiego, Tarnowskiego i Trzecieckiego, którzy przybyli doń z świeżo sformowanymi oddziałami, rekrutowanymi bądź w Galicyi, bądź też na Wołyniu. W kwaterze wodza partyzantów znajdował się i stary żołnierz z kościuszkowskich czasów, jenerał Toczyński, który przywiódł ochotników z ziem sanockiej i stryjskiej. Stary jenerał przywiózł wiadomość, że Bücking wzmocniony dwoma batalionami bukowińskiego pułku Sivkovich'a, podąży wprost na Tarnopol, ażeby bądź co bądź przegnać na granicę śmiałego partyzanta.

Oddział pana Strzyżowskiego liczył prawie dwa tysiące doskonale uzbrojonego i karnego żołnierza, nie licząc tysiąca pospolitego ruszenia, które na wieść o powodzeniu polskiego oręza do obozu

się zbiegło. Jednak pan Piotr wahał się zaryzykować stoczenie walnej bitwy i postanowił jeszcze raz się cofnąć.

— Im dalej w las, tem gęściej drzew — rzekł do oficerów — Opuścimy Zagrobelę i Tarnopol i cofniemy się do Jezierny. Po drodze wzmocnimy się ponownie, a jeśli Bücking i do Jezierny za nami pójdzie nie puścimy go dalej.

W dwie godziny później powrócił wysłany pod Kopestyńskim podjazd, zwiastując zbliżanie się Austryaków. Strzyżowski nie czekał ich nadejścia, lecz czemprowadzając cofnął się gościńcem ku Jeziernie wiodącym.

O dobrym zmroku oddziały polskie dosiały Jezierny i rozłożyły się obozem. Strzyżowski jednak pragnąc wiedzieć co się dzieje w austryackim obozie, wysłał jeszcze raz rekonensans złożony z trzydziestu ułanów pod wodzą Jaszczułda ku Tarnopolowi. Zalecił mu wszakże unikania wszelkich utarczek z austryackimi patrolami.

Jaszczułd wysłuchawszy rozkazu, zsalutował po formie i stanął w wyczekującej postawie.

— Czego chcesz jeszcze? — zapytał pan szef, patrząc dość opryskliwie na swego faworyta.

— Panie komendancie — rzekł Jaszczułd, — myślę ja właśnie, czy nie byłoby dobrze dostawić do naszego obozu samego generała Bückinga. Ten by nam wszystko dokumentnie wypiewał, co obmyślił na naszą zgubę.

Strzyżowski spojrzął na sierżanta szeroko rozwartemi oczyma.

— Czyś oszalał moście sierzancie, czyś tylko podpiał zawiele? — zapytał.

— Melduję pokornie panie szefie, że ani jedno, ani drugi. Postanowiłem tylko

dostać się tej jeszcze nocy do austryackiego obozu i ucapiwszy Bückinga, sprrowadzić go na rozkazy pana szefa.

Strzyżowski wzruszył ramionami.

— Zwarjował Jaszczułd, dalipan zwaryował — rzekł jakby do siebie.

— Śmiem pokornie zapytać pana szefa, czy nie ma nic przeciw memu zamiarowi?

Strzyżowski spojrzął Jaszczułdowi prosto w oczy i położył mu dłoń na ramieniu.

— Słuchaj Jaszczułd — rzekł po chwili, — ufam twojej odwadze i żołnierskiemu doświadczeniu. Wiem, że ludzi nie zmarnujesz. Według mnie, jest to rzecz niewykonalna, ale jeśli ci się takowa impreza uda, to chyba Boga nie byłoby na niebie, jeśliby cię oficerskie szlufy ominęły. Rób jak uważasz.

Jaszczułd brzęknął ostrogami i skłoniwszy się zamasyżycie wyszedł z kwatery.

— Szalony chłop — mruzczał pan Strzyżowski chodząc po pokoju, — komu by coś podobnego na myśl przyszło. (Choć powiadają: *audaces fortuna juvat*.)

VII.

Noc już była, gdy z Jezierny wyszedł podjazd z trzydziestu ułanów złożony. Wszyscy byli to chłopci na schwał, stare wygi, zuch w zucha, wiarusy, z których każdy nie raz i nie dwa śmierci w oczy zaglądał. Trębacz Borysiewicz, stary Czyżyk, kapral Pakoń, a między nimi jeden młodzieniaszek, siedmnaścieletni Roman Wybranowski późniejszy generał i komendant lwowskiej gwardyi narodowej, podówczas swą wojskową karierę rozpoczynający. W tyle oddziałku jechała bryczka w parę tegich koni zaprzężona,

którą Jaszczułd wypożyczył po drodze, na wszelki wypadek.

O północy dotarli do Zagrobeli i zatrzymali się w pobliskim lasku.

— Chłopcy — ozwał się Jaszczułd szeptem — uważajcie. Rzykujemy nasze głowy — uda się, to krzyże nas nie miną — złapią nas — to kula w łeb nas czeka.

Ułani dech w sobie zaparli i wpatrywali się jak w tęczę w swego komendanta. Z oddali widniały dogasające ogniska szeroko rozłożonego austriackiego obozu i dochodził ich cichy gwar zmieszanych głosów. Okna pobliskiego dworu gorzały czerwonym światłem.

— Panie sierzancie, — mówił Borysiewicz, o ile mógł najcichszym głosem, — tędy się nie dostaniemy. Cały obóz przed nami leży. Musimy objechać wieś. Ogród dworski ciągnie się aż ku tamtej stronie wsi, pamiętam doskonale, wszak przed dwoma dniami stąd wymaszerowaliśmy. Może z tamtej strony tak nie pilnują choroby.

— A las po tamtej stronie jest? — zapytał sierżant.

— Jest panie sierzancie.

— Więc jedźwa.

Nie zwlekając ruszyli z powrotem i starając się jak najciszej zachowywać objechali dwór.

W tylnych oknach dworu świeciło się wprawdzie, lecz ognisk żołnierskich nie było widać. Widocznie, że sztab austriacki ufny w swą potęgę nie rozkładał się w środku obozu, lecz zajął dwór, który przed kilkoma jeszcze dniami służył za kwaterę Strzyżowskiemu i znaczniejszym jego oficerom.

— Tu z ogrodu prowadzi furtka w pole — rzekł Borysiewicz, widocznie dokładnie obeznany z miejscowością, — przy furtce musi pewnie warta stać.

— No, takimi głupcami do dyabła nie są, by przy furtce warty nie postawili — burknął sierżant. — Tę wartę musimy sprzątnąć.

— Ta jak?

— Nie twoja w tem głowa — rób tylko co ci każe.

Z lasku, w którym stali, rozciągającym się dokoła wsi, było jakie trzysta kroków czystym polem do dworskiego ogrodu. Sierżant nie namyślając się zlązł z konia i popęzł zbożem ku dworowi, polecając ułanom oczekiwać cierpliwie jego powrotu.

W jakie pół godziny powrócił.

— Pilnują szelmy — rzekł do swoich, — przy furtce trzech huzarów stoi.

Medytował chwilę, w końcu trzepnął palcami i mruknął.

— Wszystko jedno. Dawajcie bryczkę.

Bryczka stała w pogotowiu.

Jaszczułd rozejrzał się po swych ludziach.

— Wiara jedziemy śmiało pod sam dwór. Czyżyk, Borysiewicz, Kalinowicz i Tokarski siadajcie na bryczkę. Kto z was umie po niemiecku?

— Ja panie sierzancie — ozwał się młody Wybranowski.

— Siadaj i ty.

To rzekłszy sam wskoczył również i rzekł do pozostałych:

— Czuj duch, wiarusy, szable trzymać w garściach i patrzcie na dwór. Jeśli usłyszycie pistoletowe strzały, walić co koń wyskoczy, chociażby w środek austriackiego obozu.

Do woźnicy się zwrócił.

— Ruszaj.

Bryczka z głośnym turkotem potoczyła się drożyną ku dworowi wiodącą.

Nie ujechali dalej jak dwieście kroków, gdy tuż przed nimi rozległ się tupot

kopyt końskich i ozwał się basowy, groźny głos:

— *Halt! Wer da?*

— *Freunde* — odrzyknął Jaszczuśd.

O kilkanaście kroków od bryczki zamajaczyły sylwetki trzech jeźdźców, którzy zwolna ku niej podjeżdżali.

— *Wer da?* — powtórzył jeden z nich.

— *Offiziere* — brzmiała odpowiedź.

Huzary podjechali bliżej.

Na to tylko Jaszczuśd czekał. W mgnieniu oka zeskoczył z bryczki i porwawszy za cugle konia najbliższego huzara krzyknął do swoich:

— Bierz ich!

Krótką chwilą szamotania — huzary znaleźli się w rękach ułanów.

Dostęp do dworu był wolny.

W zagrabelskim dworze, w tym samym pokoju, w którym jeszcze przed kilkoma dniami sypiał szef Strzyżowski, snem sprawiedliwego spał po trudach generał Bücking i jego dwaj adjutanci: kapitan Józef Jelinek, oficer z pułku Sivkovich'a i porucznik Keller. W sąsiednim pokoju, ordynans korzystając ze snu generała i obu oficerów, zdrzemnął się na dobre.

Naraz drzwi pokoju generała otworzyły się i stanął w nich Jaszczuśd, w towarzystwie Borysiewicza i Czyżyka. Wiarusy szli z zapartym oddechem, z pistoletami w rękę. Chociaż byli to ludzie zuchwali, nie cofający się przed niczem, przecież mimowoli dreszcz nimi wstrząsał na myśl, że lada chwila ktoś się obudzi i ich przychwyci.

Jaszczuśd bez namysłu przystąpił do spiącego Bückinga i potrząsł go za ramię.

— Wstawaj stary Szwabie — ozwał się rubaszczym głosem, — przyszedliśmy po ciebie.

Rozespany Bücking ocknął się ze snu i ujrawszy polskich ułanów, stojących przy jego łóżku przetarł oczy.

Jaszczuśd przyłożył mu pistolet do nosa.

— No, nie marudź, zbieraj się — rzekł ostro.

— *Himmel, Sakrament!* — wyszeptał struchlały generał.

W tej chwili zbudzili się obaj adjutanci, jednak mając pistolety przyłożone do piersi, milczeli i patrzali na ułanów szeroko rozwartymi oczyma, widocznie nie pojmując co się właściwie stało.

— W drogę — zakomenderował Jaszczuśd biorąc Bückinga na rękę. — A *Maulhalten* mości jenerale, bo łeb rozstrzaskam.

Borysiewicz i Czyżyk pochwycili również adjutantów na rękę i na palcach wyszli z kwatery.

Biegiem przebyli ogród i zadyszani dopadli furtki, gdzie oczekiwała ich bryczka z Wybranowskim, Tokarskim i Kalinowiczem.

Złożyli swój ciężar na bryczce i już mieli odjechać, gdy nagle Jaszczuśd przypomniał sobie, że w sypialni nad łóżkiem Bückinga wisiał piękny, brylancikami wysadzany zegarek generała i ozdobnie poprawne pistolety.

— Szkoda zostawiać, będę miał po nim pamiątkę — rzekł do swoich. — Wróć się po nie a wy zaczekajcie.

To rzekłszy począł iść ku dworowi, lecz stary Czyżyk pochwycił go za rękę.

— Panie sierżancie, na miły Bóg, uciekajmy. Pal dyabli zegarek — gotowi nas wszystkich przychwycić.

Jaszczuśd wyrwał rękę z dłoni starego wiarusa.

— Nie bój się tchórze — rzekł porywczu, — nie się nam nie stanie.

Poszedł.

Ułani z siedzącymi na bryczce austriackimi oficerami, drżąc z niecierpliwości, oczekiwali powrotu zuchwałego sierżanta. Bücking i jego adjutanci, w białym tylko, zrezygnowali na wszystko, milczeli ponuro, patrząc w lufy wymierzonych ku nim pistoletów.

I zdawało się, że lada chwila Jaszczułd powróci i ulani ujadą szczęśliwie ze swym łupem.

Mijała minuta za minutą.

Naraz ciszę nocną przerwał przeraźliwy krzyk jakgdyby zabijanego człowieka, a w ślad, za nim, w kwaterze jenerała wszczął się piekielny hałas.

Ogrodem biegł Jaszczułd z wydobytem pałaszem w rękę. Zdyszany dopadł bryczki i wskoczywszy na nią, wrzasnął do woźnicy:

— W konie!

Lecz w ślad za nim pędziło kilkunastu austriackich piechurów.

Konie rwały z kopyta, lecz widocznym było, że nie uniosą ciężaru dziwięciu siedzących na bryczce ludzi.

A pościg się zwiększał — z każdą chwilą przybywało coraz więcej pieszych i konnych żołnierzy. Wśród ciemności nocnych biegli bezładnie pokrzykując i zachęcając się do gonitwy.

Zjawili się i dragoni i huzary i nim podjazd pozostawiony w lesie pod komendą Pakonia, zdołał nadbiec z pomocą towarzyszą, Austriacy otoczyli już bryczkę ze wszech stron.

Z trudem tylko Jaszczułd i jego ulani przebili się przez bezładną gromadę żołnierzy. Jaszczułd dopadł konia i rzekł do Czyżyka z rozpaczą w głosie:

— Przepadło.

Zwrócili konie do ucieczki i pomknęli z wichrem w zawody.

Austriacy jednak nie myśleli o ściganiu uchodzących. Zbyt byli uradowani odbiciem swego jenerała.

— Słuchaj stary karabinie — ozwał się Jaszczułd na jadącego obok niego Czyżyka, — zasłużyłem sobie rzetelnie na kulę w łeb. Mieliliśmy w rękę jenerała, mogliśmy ująć, złakomiłem się na głupi zegarek.

— Jakże to było panie sierżancie? — zapytał Czyżyk.

— Ot, głupio — odrzekł sierżant z rozpaczą w głosie. — Wróciłem do kwatery, lecz w samym progu natknąłem na ordynansa, który akuratnie się zbudził. Zleśmy zrobili, żeśmy zapomnieli związać tego szelmę. Spozstrzegłszy mnie, chłopisko formalnie zgłupiał. Rąbnąłem go szablą po głowie, lecz szabla mi się jakoś zwinęła, a łotr narobił takiego wrzasku, że wszyscy się pobudzili. Dałem nogom znać, no i ledwie im się wymknąłem. Szkoda gadać — zakończył machnąwszy ręką z rezygnacją.

Tymczasem oficerowie okrywszy jenerała płaszczami, odnieśli go wystraszonego i drżącego na kwaterę. Stary jenerał nie odzywał się ani słowem do nikogo, tylko mruczał pod nosem:

— *Merkwürdig, merkwürdig*, zuchwali ludzie ci polscy ulani.

W dwie godziny później wydał wojsku rozkaz natychmiastowego cofania się.

VIII.

Uchodzący ulani Jaszczułda, o świcie zetknęli się z całym oddziałem Strzyżowskiego, który zaniepokojony o los dzielonego sierżanta i jego towarzyszy, z

wszystkimi swymi siłami, maszerował na Austryaków. Uśmieł się niemało pan szef, gdy mu Jaszczułd opowiedział swą przygodę z Bückingiem i pocieszył go, że to co dziś się nie udało, jutro udać się może. Pan Strzyżowski nie obwinał sierżanta wcale o niepowodzenie wyprawy, był nawet kontent, że zuchwałość ułanów, napędziła porządnego Pietra staremu jenerałowi.

Austriacy oczekiwali przybycia Strzyżowskiego w szyku bojowym. Cały dzień przeminął na wzajemnych rekonesansach i utarczkach i dopiero o świcie dnia następnego dał Strzyżowski rozkaz do ataku na obóz austriacki. Nadzwyczaj zacięta walka przeciągnęła się do późnej nocy, a bohaterami jej byli porucznik Kopestyński i nasz Jaszczułd. Obaj na czele dwóch plutonów ułanów, z szaloną brawurą przelecieli przez środek obozu i wpadłszy do dworu, wytłukli stojących na straży żołnierzy i zabrali wszystkie konie jenerała.

Tej nocy jeszcze, Bücking rozłożywszy gęste ogniska, cichaczem opuścił Zagrobelę i cofnął się do Tarnopola. Wysłałszy parlamentarza, do stojących w pobliżu Rosyan, rzekomo posiłkujących Polaków, oddał im miasto, sam zaś ze zmęczonem i zdemoralizowanym wojskiem podążył w kierunku Stanisławowa.

Nazajutrz Polacy ze zdumieniem ujrzeni opuszczony obóz austriacki, a wysłany rekonesans pod wodzą Trzecieskiego, lancami musiał torować sobie drogę do Tarnopola, w którym już się usadowili rosyjscy ułani.

Pan Strzyżowski niewiele sobie robiąc ze „sprzymierzeńców“, zajął Tarnopól i zawiesił francuskie orły. Dawszemu jednodniowy wypoczynek strudzonemu wojsku, ruszył w dalszy pościg za Austryakami.

Stary Bücking uchodził lewym — Strzyżowski ściagał go po prawym brzegu Strypy. Lecz już drugiego dnia dowiedział się szef, gdzie się obracają Austriacy i cała polska jazda przeszedłszy Strypę w bród, dopadła austriacką arygardę w Chorostkowie. Bücking nie troszczył się o ratowanie jej — postanowił poświęcić ten oddział dla ocalenia reszty. Równocześnie pochnął gońców do stojącego w okolicy Stanisławowa jenerała austriackiego Mehrfelda, zaklinając go na miły Bóg, by mu przysłał w pomoc kilka szwadronów jazdy, której mu brakło.

Austriacka piechota zamknawszy się w murowanych stodołach, długi czas dawała dzielny odpór atakującym ją ułanom. Mimo szalonej odwagi kapitana Trzecieskiego i poruczników Zakrzewskiego i Kopestyńskiego, ułani nie mogli wyrzucić Austryaków ze stanowiska. Wielu dzielnych wiarusów legło na placu. Dopiero z nadejściem polskiej piechoty, położenie się zmieniło. Jaszczułd kazawszy wziąć kilku ułanom zapalone wiązki słomy na lance, w pełnym galopie ruszył ku stodołom i zdołał je podpalić. Austriacy nie mogąc wytrzymać straszliwego gorąca, duszeni dymem, wyszli ze schroniska na czyste pole. Wszczęła się straszna rzeź — zaledwie garść piechoty w ciemnościach zapadającej nocy, zdołała ocalić się ucieczką i połączyć się z główną siłą, która zatrzymała się w Wieniawce.

O brzasku następnego dnia dano znać Bückingowi, że Polacy są o pół mili. Zwołał wyższych oficerów na radę wojenną i rzekł lakonicznie:

— Jeśli Mehrfeld nie przyjdzie nam z pomocą jesteśmy zgubieni.

Oficerowie wyjechali na wzgórze przed wsią i przez perspektywę ujrzeni grotty lanc i kaska ułanów.

„Piekielna jazda“ zbliżała się lotem ptaka.

— Śmierć idzie — mruknął kapitan Jelinek.

— Uciekajmy — ozwał się pułkownik Hessler.

Bücking spojrzął z rozpaczą dokoła.

— Dokąd? — zapytał złamanem głosem, — dogonią nas, — jesteśmy skazani na zagładę.

— *Verflucht!* — zaklął Hessler, — cofnijmy się przynajmniej za wieś, tam dogodniejsza pozycja, spróbujemy bronić się.

Zabrzmiały trąbki i bębny. długie kolumny austriackiej piechoty, przyspieszonym krokiem przeciągały przez wieś, szukając się w gęste czworoboki. W chwili gdy wieś mijali, ukazał się na gościńcu długi szereg wozów, wiozących sól z Kałusza.

Pułkownik Hessler plasnął w ręce.

— Wspaniała myśl przychodzi mi do głowy — rzekł do jenerała, — zajmijmy ten tabor, z za tych wozów możemy się znakomicie bronić. Strzyżowski armat nie ma, kto wie czy na tych wozach zębą sobie nie połamie.

— *Colossal, colossal* — zamruczał Bücking, — rzeczywiście dobra myśl.

Na dany rozkaz żołnierze rzucili się ku wozom i bijąc i kolbując opierających się furmanów, zmusili ich do zawrócenia koni.

W kwadrans później na błonię stanął najeżony czworobok z wozów, za którymi stanęła piechota z bronią do strzału gotową. W małych pozostawionych uliczkach ustawiono cztery działa, zaś garść luzarów i dragonów jakoteż sztab cały stanęły w środku czworoboku.

Bücking zatarł ręce z zadowoleniem.

— Nie zjedzą nas tak prędko *verfluchte Rebellanten* — rzekł do swych oficerów, — możemy się kilka dni bronić,

a do tego czasu Mehrfeld nadciągnie z odsieczą.

Kawalerya polska zatrzymała się tymczasem we wsi, oczekując nadejścia reszty korpusu, gdyż chłopci ostrzegli ułanów, że Austriacy stoją za wsią, osłonięci wozami.

Nareszcie zjawił się pan Strzyżowski i ze zmarszczoną brwią wysłuchał raportu Kopestyńskiego.

— Na dobry concept szelmy wpadli. Bodaj ich siarczyste pioruny zatrzaskły — zaklął.

Wspiał konia ostrogami i na czele kawaleryi ruszył ku austriackiemu taborowi.

U wylotu ulicy zatrzymali się. Strzyżowski bacznie okiem zlustrował szereg wozów najeżonych lufami karabinów, kręcił głową, wreszcie machnął ręką.

— Piechota naprzód! Osaczyć ich do koła.

Jaszczułd chwycił za cugle konia Strzyżowskiego.

— Panie komendancie — ozwał się wskazując ręką ku wsi — patrz, tam...

Strzyżowski zwrócił głowę w wskazanym kierunku.

— No cóż, staw, widzę go dobrze.

W istocie, między ogrodami wiejskich chałup połyskiwało czyste zwierciadło niewielkiego stawku.

— Staw — powtórzył Jaszczułd, — tylko Austriacy zapomnieli go obsadzić. Do wieczora ludzie i konie nie wytrzymają bez wody.

Strzyżowski z radosnem zadowoleniem uderzył sierżanta po ramieniu.

— Chwat Jaszczułd, dalibóg chwat. Hej wiara, trzy kompanie piechoty obsadzą staw i za żadną cenę nie dopuścić Austryaków do wody. Mości Roztworowski, mości Trzecieski, waćpanom zlecam obronę stawku. Gardłem mi odpowiecie.

Szef ożywił się, związał koniem, porządkował nadchodzące kolumny, wyznaczał stanowiska, — w pół godziny Austriacy byli osaczeni i zamknięci, jak myśliwcy w pułapce.

Bücking pierwszy dał hasło do boju. Z za wozów błysnął płomień, zahuczały karabiny i działa, smugi dymów skłębiły się nad podolskim łąnem.

Jenerał zeskoczył z konia, biegał od jednej armaty do drugiej, zachęcał żołnierzy do celnego strzelania i dzielnego oporu.

Około południa Strzyżowski przerwał bitwę. Polacy cofnęli się od taboru poza doniosłość strzałów. A w austriackim obozie rozbrzmiało głośne wołanie w różnorodnych językach:

— Wody, wody!

Stary wódz chwycił się za głowę.

— *Unglück, Unglück meine Herren* — rzekł szeptem do oficerów, *fatum* nas przesładuje. Woda jest we wsi, a myśmy o niej na śmierć zapomnieli.

Sztabowcy ponuro zwiesili głowy.

Był to dzień 20 lipca, słońce piekło jak rozpalonem żelazem, godzina za godziną mijały w spokoju, Strzyżowski wyczekiwał, a pragnienie zwiększało się coraz bardziej. Na razie Bücking i oficerowie oddali swe zapasowe wino i rozdzielali je w małych dawkach między żołnierzy, lecz wino miast ugasić, podnieciło ich pragnienie jeszcze bardziej.

— Bądź co bądź — rzekł pułkownik Hessler, — wodę zdobyć musimy. Wyjdziemy z za wozów i przypuścimy szturm do wsi. Może i Polakom na myśl nie przyszło, że my wody nie mamy.

— Próbujemy — ozwali się chórem oficerowie.

Sformowawszy dwa bataliony piechoty, Hessler uderzył wprost na stano-

wiska polskie, usiłując przebić się ku wsi. Ale Strzyżowski był przygotowany na ten atak. Polska piechota przyjęła Austriaków gęstym ogniem karabinowym, a na zmieszanych uderzyli ułani i rąbiąc i koląc wpędzili ich z powrotem do taboru.

Ku wieczorowi poczęły się dziać straszne sceny w austriackim obozie. Konie rżały dziwnym głosem, ludzie mdleli z pragnienia. Dyscyplina i karność wojskowa znikły bez śladu. Tłum grenadyerów, strzelców i piechurów otoczył jenerała i wołał ponurym głosem:

— Wody!

Stary jenerał z rozpaczą załamał ręce.

— Czy myślicie, że i ja tej wody nie łaknę? Patrzcie na moje siwe włosy? Czy chcecie je na hańbę wydać. Czego właściwie chcecie odemnie? Skąd wam wodę wydobędę?

Ktoś przeciskał się przez tłum. Stary kaprał od grenadyerów niósł na rękę bezwładne ciało kobiety, markietanki korpusu.

— Patrz — zawołał do jenerała mierząc go oczyma, — patrz — skonała z pragnienia. Pozostawiła dwoje małych dzieci, które nie zdając sobie sprawy ze śmierci matki, tylko o wodę proszą.

To rzekłszy rzucił ciało markietanki pod nogi konia jenerała.

— Poddajmy się — zaszemrał tłum. — Jeśli ty nie chcesz, sami wydamy się Polakom.

W oddali rozległ się tentent kopyt końskich. Przed jenerałem stanął rozpromieniony adjutant Keller.

— Ekscelencyo — raportował urywanym głosem, — na gościńcu widać obłok kurzu, migają czaka huzarów. To jenerał Mehrfeld z pomocą podąża.

— Mehrfeld! — krzyknął Bücking podnosząc oczy z dziękczynnością w niebo.

— Mehrfeld! — zawtórz yli z radością żołnierze.

— Dzieci — zawołał generał do żołnierzy — do broni! Pomoc nam idzie. Wesprzyjmy atak naszych! *Hoch Österreich!*

Szablę wy dobył z pochwy i sam stanąwszy na czele żołnierzy wyprowadził ich z taboru.

Słońce już zachodziło, gdy dręczeni pragnieniem Austriacy przy odgłosie bębnow z wściekłą zapamiętałością rzucili się na polskie zastępy.

Zawrzała walka na śmierć lub życie o kroplę bodaj wody. Zdobyć stawek chociażby zdobycie największymi ofiarami okupić przyszło, zdobyć za każdą cenę — było hasłem dla austriackich żołnierzy.

IX.

Nietylko Austriacy spostrzegli nadciągającą odsiecz. Tentent kopyt na gościńcu od Stanisławowa wiodącym słyszał również dobrze i porucznik Zakrzewski, blokujący tabor z tej strony. Jeśli to Mehrfeld — Polacy byli zgubieni.

A tuman kurzawy zbliżał się coraz bardziej. Wkrótce ułani rozróżnić mogli kity czap i krzywe węgierskie szable.

Zakrzewski nie wahał się dłużej. W chwili gdy Austriacy wychodzili z taboru, Zakrzewski pozostawiwszy piechotę na straży, z szwadronem ułanów ruszył klusem przeciw nadciągającym.

Nie było czasu do namysłu, Zakrzewski nie pytał o liczbę huzarów, lecz kazawszy ułanom wziąć lance do ataku, runął wprost na nieprzyjaciół.

Z lancami w pół ucha końskiego, z czapami na bakier wpadli na Węgrów.

Nie przebrzmiało jeszcze węgierskie: „*eljen!*“, a już huzarski szwadron był rozbity, roztratowany, rozniesiony lancami na wsze strony. Dowodzący huzarami rotmistrz, jakiś graf węgierski, znalazł się w rękach nazych Mazurów.

— Obszukać go! — zakrzyknął porucznik.

Wśród innych papierów znaleziono przy rotmistrzu list do Bückinga zaadresowany. Zakrzewski rozdarł kopertę i list przeczytał.

Było to pismo od generała Mehrfelda zawiadamiające Bückinga, że więcej jak szwadron huzarów, posłać mu nie jest w stanie, gdyż dokoła Stanisławowa kręca się liczne oddziały polskich partyzantów i że radzi mu, by się cofał do Maryampola, gdzie go oczekiwać będzie.

Zakrzewski odczytawszy pismo musnął wąsa z zadowoleniem.

— Teraz Bücking przepadł — rzekł do Jaszczułda. — Trzeba to pismo wysłać szefowi.

Niedobitki huzarów pomknęły tymczasem tą drogą którą przyszły.

A we wsi toczyła się zacięta walka. Austriacy przekonani, że im pomoc lada chwila nadejdzie, atakowali z zdwojoną odwagą. Polacy znów za żadną cenę nie chcieli ich dopuścić do stawu. Strzyżowski i stary Toczyski z karabinami w rękach, walczyli na czele strzelców i zachęcali ich do wytrwania.

Zapadła noc rozświetlana co chwila blaskami ogni karabinowych. Każdy atak Austriaków był odparty. Przerzedzeni, wycieńczeni pragnieniem zostali ponownie wepchnięci do taboru.

Nastała chwila krótkiego wytchnienia — obie strony wyczerpane walką dyszały ciężko.

Przed taborem zagrała trąbka parlamentarza. Porucznik Zakrzewski z tręba-

czem Borysiewiezem przybyli od Strzyżowskiego, z listem do Bückinga.

Z gęstą miną zjawił się porucznik przed obliczem starego jenerała. Nie zawiązywano mu oczu, Austriacy nie mieli czego taić, gdyż Strzyżowski wiedział dobrze, że im wody brakuje.

Jenerał w milczeniu odczytał pismo Strzyżowskiego i załączony list Mehrfelda i spojrzął na oficerów.

— *Meine Herren* — rzekł po chwili, — pan komendant Strzyżowski proponuje nam bezwarunkowe złożenie broni i wzywa do bezwłocznego poddania się, grożąc w przeciwnym razie natychmiastowym atakiem.

— Za nie w świecie — wybuchnął pułkownik Hessler, uderzając się po szabli, — jenerał Mehrfeld lada chwila nadciągnie.

Zakrzewski rozśmiał się ironicznie.

— Jenerał Mehrfeld nie przyjdzie wam z pomocą panie pułkowniku — rzekł spokojnie, — wysłał wam jedynie szwadron huzarów, który rozbiliśmy przed godziną. List Mehrfelda znalaziony przy wziętym w niewolę rotmistrzu, dołączył nasz komendant do swego pisma.

Hessler spojrzął pytającami oczyma na jenerała — Bücking na potwierdzenie tych słów smutnie skinął głową.

— Mości oficerze — ozwał się Bücking do Zakrzewskiego złamanym głosem — jesteś żołnierzem jak my i wiesz co wojskowy honor znaczy. Jesteśmy w smutnem wyjątkowem położeniu. Patrz na mój siwy włos. Gromiłem niegdyś Turków, nie jestem nieprzyjacielem waszego narodu, nie uczyniłem mu żadnej krzywdy. Dziś na stare lata spotyka mnie hańba, mam broń składać...

Urwał — dwie łzy błysły w jego oczach.

Zakrzewskiemu żal się zrobiło starego wojaka.

— Cóż mam odpowiedzieć memu komendantowi? — zapytał ze współczuciem w głosie.

— Potrzebujemy czasu do namysłu — odparł jenerał. — Ja sam stanowić nie mogę — muszę zwołać radę wojenną. Żądam dwugodzinnego rozejmu i stu konek wody dla żołnierzy.

Zakrzewski salutował jenerała i dosiadłszy konia odjechał ku polskiemu stanowiskom.

Strzyżowski zgodził się na warunki Austryaków. Dostawiono wodę do taboru, na którą rzuciło się spragnione żołnierstwo, bijąc się formalnie o nią — i oczekiwano upływu rozejmu.

Jakież było zdziwienie szefa, gdy po dwóch godzinach przybyły do polskiego obozu adjutant Keller, oznajmił mu imieniem jenerała Bückinga, że rada wojenna oświadczyła się za dalszem prowadzeniem walki.

Widocznie wpływ Hesslera zwyciężył. Pułkownik liczył na to, że wśród ciemności nocy uda się austryackiemu wojsku niespostrzeżenie wymknąć się z taboru.

— Podle, podle, — zamruczał pan szef, — ze zdrajcami nie można się układać. No, ale jakoś damy im radę.

Polecił swej kawaleryi obsadzić szczelnie tabor dokoła i czuwać całą noc pod bronią.

Po północy Austriacy próbowali podejść oddziały Strzyżowskiego. Piechota przesunawszy się pod wozami, uderzyła na partyzantów.

Jednak nie udało się sztuczka. Ułani mieli się na baczności. Wszczęła się nocna bitwa, nie mniej od dziennej zażarta. Strzelcy polscy rzucając na wozy zapalone snopy słomy, zdołali podpalić tabór. Ponownie wepchnięto doń

Austryaków. Naprózno pułkownik Hessler zachęcał żołnierzy, dając przykład odwagi i walcząc jak prosty żołnierz. Żołnierstwo przerażone atakami polskiej jazdy, prawie nie stawiając oporu, kryło się pod wozami.

O świcie Bücking zażądał nowego rozejmu. Wojsko jego było doszczętnie znużone i wyczerpane, żądni wody żołnierze grozili jenerałowi buntem, jeśli się natychmiast nie podda.

Raz jeszcze zwołał wyższych oficerów na naradę. O ucieczce lub przebicium się przez polskie zastępy mowy być nie mogło — Strzyżowski zbyt do brze się pilnował.

— Robiliśmy cośmy mogli — zakonkludował Bücking, — obecnie nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się, chociażby na najtwardsze warunki.

Nawet Hessler nie oponował — widział jasno, że dla korpusu niema nadziei ratunku.

Austryacy próbowali jeszcze wytargować coś na Strzyżowskim, ten jednak był nieugięty.

O godzinie ósmej rano Austryacy poddali się. Broń, działa, sztandary i amunicya stawały się łupem zwycięzcy. Nawet kawalerya musiała oddać swe konie. Bezbronny korpus Bückinga miał do końca kampanii pozostać bezczynnym — oddziałowi ułanów pod wodzą Trzecieckiego polecono odprowadzić Austryaków do Czerniowiec.

Po tylu trudach Strzyżowski dał wypoczynek swym oddziałom. Równocześnie wysłał jeknego z swych zaufanych oficerów, z raportem do głównej kwatery, w którym podnosił już po raz trzeci zasługi Jaszczuła i zalecał go gorąco do awansu na oficera i do krzyża zasługi.

Trzeciego dnia zjawili się w obozie polskim dwaj ziemianie ze Stanisławowskiego, prosząc usilnie Strzyżowskiego, by ruszał w ich strony, gdyż Mehrfeld dopuszcza się straszliwych bezceństw, wiesz, rostrzeliwuje Bogu ducha winnych ludzi i pustoszy całą okolicę.

Pan szef dał natychmiast rozkaz do pochodu.

Przy biciu w bębny i granium trąbek wychodził wypoczęty żołnierz polski z obozu. Zaufanie w siebie i pewność zwycięstwa były z ich rozpromienionych twarzy. Toż gdy Strzyżowski obwieścił im cel wyprawy, z czterech tysięcy gardzieli wyrwał się radosny okrzyk:

— Na Mehrfelda! Na Szwabów!...

X.

Już w czasie pochodu dochodziły uszu pana Strzyżowskiego wieści o okrucieństwach, jakich dopuszczał się jenerał Mehrfeld i zorganizowane przez niego bandy wołoskich Arnautów. Cała okolica dokoła Stanisławowa była doszczętnie zrabowaną, ofiarą rozboju padły dwory w Pałahiczach, Kutyskach, Mykietyńcach, Błozwi, gdzie panowie Siedliscy walcząc mężnie z bandą Arnautów, legli w obronie rodzinnej strzechy. Dlatego pan szef nie wahał się z niesieniem pomocy i szybkim marszem zbliżał się do Maryampola. Po drodze, w Monasterzyskach starli w proch bandę Arnautów, których rozbitki, uszedłszy do Maryampola ostrzegły Mehrfelda o zniszczeniu korpusu Bückinga i o zbliżaniu się Strzyżowskiego. Lecz austryacki jenerał nie miał najmniejszej ochoty do walki z Polakami i czempredziej przeszedł za Dniestr.

W Maryampolu przybyły Strzyżowskiemu posiłki. Z głównej kwatery polskiej

wyprawiono mu w pomoc cały szwadron ułanów i kilku młodych świeżo upieczonych oficerów, z grona przybocznych gidów ks. Poniatowskiego oficerami zamianowanych. Byli to paniczki z możnych szlacheckich rodów, z których z pewnością żaden w ciągu kampanii prochu nie powąchał. Dlatego Strzyżowski przyjął ich niezbyt przyjaźnie, a nawet wspominał z przekąsem o fartuszkowej protekcyi. Irytowało go też niemało, że mimo tylokrotnych raportów żaden z jego subalternych oficerów i podoficerów, przez niego do awansu podanych, zamianowany nie został. Najbardziej rozchodziło mu się o Jaszczułda, który od tak dawna oczekiwał na słusznie należące się mu porucznikowskie szlufy.

Tegoż dnia wieczorem dowiedział się Jaszczułd z ust Strzyżowskiego o wyrządzonej mu krzywdzie. Sierżant wyszedł z kwatery szefa niesłychanie wzburzony. Oburzenie jego spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy w swym plutonie zastał jednego z nowoprzybyłych oficerów, którego na wakujące miejsce porucznika przeznaczono. — Żak miał rozkazywać staremu wiarusowi.

Omiał go krew nie zalała, gdy pan porucznik ujawszy się w boki począł mu czynić wymówki za rzekome nieporządki w plutonie. Widocznie nie podobała mu się zamaszysta i wyzywająca mina sierżanta — to też szukał okazji, by go upokorzyć. Lecz Jaszczułd zacisnąwszy zęby w milczeniu wysłuchał wymówek młokosa, poczem poszedł odszukać Zakrzewskiego.

Odnalazł go w jakiejś lichiej winiarni miasteczka w towarzystwie Kopestyńskiego. Obaj oficerowie siedzieli przy sporym dzbanku wina w nienajweselszem usposobieniu, — Zakrzewski bowiem również spodziewał się awansu na kapitana, lecz i jemu jakoś nie poszło.

— Siadaj Jaszczułd, siadaj bracie — ozwali się obaj oficerowie, — zapijemy frasunek.

— Piętnaście lat twardej służby — rzekł sierżant z goryczą w głosie, — a dziś ośmnastolatek poucza mnie, jaką racyę owsa koniom wysypywać należy.

Zakrzewski rozśmiał się cierpko.

— Pewnie u tatka na gurnnie widział. Ot sztab, ot protekcyja mam i ciotek. My tu w pocie czoła, krwią własną na szlufy pracujemy, a tam w głównej kwaterze bez zachodu się je zdobywa. Byle zgrabny ukłon, byle szyk w tańcu i komplement w porę, a szlufy już są. Galicyjskim gągatkom nieźle idzie, — panowie Adam, Artur i Staś Potóccy umieją ich forytować. Aby tylko sztabu się przyczepić, a tam po dwóch, trzech miesiącach, z prostego ochotnika kapitańskich szluf się dosłużysz.

Jaszczułd milczał, popijał nalane mu wino i ze zmarszczoną brwią słuchał perory porucznika.

— Bodaj ich wszyscy dyabli — zaklął w końcu.

— No trudno — przemówił Kopestyński, — nie służymy szlufom lecz Ojczyźnie. Przyjdzie taki czas, że i o nas pomyślą.

— Chyba na drugim świecie — odparł sierżant uderzając pięścią w stół. — Nie chwalący się, gdyby taki gid tylekrotnie lał dyabłu w paszczę, ile razy ja łaziłem, jużby go chyba pułkownikiem zrobili. Bierzmy na przykład naszego szefa. Brygadę dowodzi, którą sam prawie sformował bez ich pomocy, a głupiej nominacyi na pułkownika doczekać się nie może.

— Widzisz więc kolego — rzekł Kopestyński tonem perswazyi, — żeś nie sam jeden skrzywdzony.

— A jednak trochę mi już zawiele.

Dobrze już po północy rozstali się, — Jaszczułd udał się na swą kwaterę i rzuciwszy się nierozebrany na łóżko próbował usnąć.

Lecz sen nie przychodził. Wiarusowi zwidywała się ta chwila, gdy dwudziestoletnim niespełna młodzieniaszkiem z rodzicielskiego domu do obozu Naczelnika wychodził, nieszczęsny bój pod Maciejowicami, potem tułaczka na obcej ziemi, beznadziejna prawie służba w legionach. Tyle lat głodu, nędzy, poniewierki, tyle blizn na ciele, a w nagrodę co? — ot chyba ten zrudziały od słońca i deszczu płaszcz i wyszarzały mundur żołnierski. Tyle lat...

Wzburzony powstał z łóżka i otworzył okno. Opodał chaty słychać było ciche rżenie koni w stajni i chrapanie śpiących wiarusów. Stojący na straży żołnierze rozmawiali półgłosem.

— Harda sztuka nasz nowy porucznik — mówił jeden z ułanów, — wziął ci sierżanta ostro odrazu. Sierżant zmilczał mu jak trusia.

— Znać żeś rekrut — odrzekł drugi, — cóż, nie wiesz co za nieposłuch czeka? Sąd, a potem kula w łeb. Czas wojenny.

— Ba, ba, — przerwał mu pierwszy, — ale zawsze sierżant to stary wojak, z jednego pieca chleb jadał, a on ot dziecko, mleko pod nosem mu nie obeschło. I u Austryaków tak nie idzie.

Jaszczułd nie słuchał dalej, odstąpił od okna i przeszedł się po pokoju.

— Nawet oni drwią ze mnie — mruknął do siebie.

W głowie szumiało mu wypite wino, w umyśle utkwiły słowa rekruta: „nawet u Austryaków tak nie idzie“.

Podrażniony do najwyższego stopnia wyszedł na podwórze i poszedł wprost ku stajni.

Czuwający żołnierze zerwali się z miejsc i wyprężyli się jak struny.

— Konia dla mnie — huknął ostro.

Za chwilę koń był osiodłany — sierżant wskoczył nań i nie mówiąc do żołnierzy ani słowa więcej, wyjechał z podwórza.

Był dziwnie zrezygnowany, chociaż w tej chwili sam nie wiedział jeszcze, co uczynić zamierza.

Przejeżdżając obok kwatery porucznika Zakrzewskiego, podjechał koniem pod same okno i zapukał w szybę.

W oknie ukazał się zaspany Zakrzewski i spojrzał zdumiony na sierżanta.

— A z tobą co? — zapytał porucznik, — czego cię dyabli tłumią po nocy?

— Jadę do Austryaków. Bywaj zdrów poruczniku — może tam się prędzej oficerskiego stopnia doczekam. Żegnaj! Niech wszyscy dyabli porwą waszego wyperfumowanego księcia i jego sztabowców!

To rzekłszy wspiął konia i ruszył galopem.

— Jaszczułd, kolego — krzyknął Zakrzewski rozpaczliwie wyskakując w biełżnie na środek ulicy — oszalałeś?! Ojczyznę dla szlufów zdradasz? Wróć się waryacie!

Lecz sierżant nie słyszał nawoływań porucznika i rzuciwszy strażom hasło, rwał z kopyta w stronę austriackiego obozu.

XI.

Dwóch huzarów przywiodło Jaszczułda do głównej kwatery w Tłumaczu przed oblicze austriackiego wodza jenerała Mehrfelda. Ułan był skonsternowany i dziwnie zmieszany, gdy jenerał obrzucił go badawczem i podejrzliwym spojrzaniem i wziął go na spytki. Mehrfeld to nie był stary dobroduszny Bücking, ale człowiek przebiegły i podejrzliwy, który wietrzył niebezpieczeństwo nawet tam, gdzie go nie było. Przemyśliwał więc długo, czy to nie jakaś nowa sztuczka ułańska, ale odpowiedzi sierżanta były tak szczerze i proste, że jenerał musiał mu uwierzyć. Pozyskania takiego zucha, jakim był Jaszczułd, wcale sobie nie lekceważył, przytem wiedział dobrze, że sierżant zna wszystkie słabe strony korpusu Strzyżowskiego — człowiek taki mógł się mu przydać. Dlatego Mehrfeld — acz w głębi duszy gardził zdrajcami, postanowił sobie ująć Jaszczułda, kazał mu więc wyliczyć dwadzieścia dukatów w złocie i odrazu wcielił go w szeregi, w stopniu wachmistrza.

Wiść o przybyciu sławnego partyzanta rozeszła się w mgnieniu oka po całym austriackim obozie. Nazwisko jego było gólnie znane między Austriakami, wiedziano o jego ataku samowtór na całą kompanię piechoty, o śmiałym pochwytceniu Bückinga i innych partyzanckich sztuczkach. Dziwa opowiadali sobie austriacy żołnierze o jego szalonej odwadze i żołnierskim animuszu. Toteż gdy dowiedziano się, że ów Jaszczułd zdezerterował z polskich szeregów i przeszedł do nich, żołnierze i oficerowie schodzili się hurmę i spoglądali nań jak na wroga. Mienił się nasz były ułan pod setkami spojrzeń, nieswojsko mu jakoś było w dragońskim hełmie i białym płaszczu, nieraźnie szła niemiecka komenda, lecz

trudno — klamka zapadła, musiał trzymać się nowych panów.

Nowi koledzy traktowali go niektóry obojętnie, inni odnosili się doń dość życzliwie, niektórzy zaś nie kryli się z pogardą. Komendant szwadronu, do którego Jaszczułda przydzielono, baron von Hohenau, niejednokrotnie zapytywał go ironicznie, kiedy zdezerteruje do Rosyan. Wszystkie te docinki i ironiczne uśmieški musiał Jaszczułd w mileczeniu znosić. Burzyła się rogata dusza, ścisnął nieraz rękojeść szabli, lecz milczał. Za to Mehrfeld nie szczędził mu pochwał za wzorowe wykonywanie służby, przyrzekał wyrobić mu w najkrótszym czasie nominacyę na oficera — słowem starał się ująć go sobie w zupełności.

W jaki tydzień po przybyciu Jaszczułda do austriackiego obozu, dowiedziano się, że Strzyżowski wyprawił na zwiady oddział piechoty i kawaleryi na lewy brzeg Dniestru. Widocznie knuł plan podejścia Austriaków, — chciał ich wywabić z obronnej pozycyi, którą zajmowali i następnie uderzyć na nich wszvstkimi siłami.

Mehrfeld nie ruszając się z miejsca wysłał przeciw temu oddziałowi dwa bataliony piechoty i szwadron dragonów. Jaszczułd również poszedł na wyprawę przeciw dawnym towarzyszom broni. Dawano mu pole do popisu.

Prowadzeni przez Jaszczułda Austriacy, podeszli szczupły oddziałik polski, pod komendą Hohendorfa i porucznika Kopestyńskiego pozostający. Niespodziewający się napadu partyzanci, po uporczywym boju zostali niemal doszczętnie rozgromieni, Kopestyński wraz z kilku nastu towarzyszami dostał się do niewoli.

Dowodzący major zlecił Jaszczułdowi odprowadzenie do Tłumacza schwytyanych jeńców. Jakieś dziwne uczucie ogarnęło

jego duszę, gdy wśród jeńców ujrzał Kopestyńskiego i swych towarzyszy z legionów, starego Czyżyka i Kalinowicza. Mimowoli odwrócił się od nich, gdy Kopestyński spojrział nań wyzywająco. Zmieszany eks-ułan cofnął konia w głąb szeregu.

— Widzicie zdrajcę — mówił Kopestyński do swych towarzyszy, tak głośno, by Jaszczułd mógł go usłyszeć, — nie ma nawet odwagi zaglądnąć nam w oczy.

Jaszczułd nie reagował — może czuł w tej chwili wyrzuty sumienia.

Zapadał wieczór — dragoni zatrzymali się w przydrożnej karczynie, jeńców pod strażą umieszczono w stajni. Jaszczułd wszedł do karczmy, wypił trzy miarki wódki jedną po drugiej i poszedł między swych dawnych kolegów.

Ułani siedzieli w milczeniu, zrezygnowani, ten i ów znużony położył się na gołej ziemi.

Jaszczułd przystąpił do Kopestyńskiego, lecz ten odwrócił się doń plecami.

— Mości poruczniku — rzekł Jaszczułd podnieconym głosem, — dlaczego odwracasz się odemnie?

— Ze zdrajcą mówić nie będę — rzucił jeniec twardo.

— Tak, zdrajcą jestem — odparł Jaszczułd z goryczą, — to prawda. Porzuciłem pułk, zdezerterowałem do nieprzyjaciela. A czy ty wiesz, panie oficerze, że ja za piętnaście lat ciężkiej służby nie mogłem się nawet awansu na wachmistrza doczekać, dlatego tylko żem nie szlachcic. Obiecywał mi pan Strzyżowski złote góry, powiadał, że lada dzień moja nominacja na oficera przyjdzie, tymczasem były to gruszki na wierzbie. Nadomiar oddali mnie pod komendę smarkacza. Dyabeł skusił — wściekłem się ze

złości i zdezerterowałem. No, teraz już przepadło.

Kopestyński zwrócił się ku niemu.

— Więc ty dla szluf służyłeś? Więc Ojczyzna i wolność kraju były u ciebie niczem? Biłeś się jedynie dlatego, by oficerem zostać, za nic był u ciebie obowiązek żołnierza - Polaka?

Głos porucznika drżał z oburzenia — Jaszczułd z oczyma wpatrzonemi w ziemię milczał ponuro.

— Wiedz o tem, że ojczyzna nagradza każdego z wiernych synów — perorował dalej. Pamiętano i o tobie. W głównej kwaterze zapomniano nominacje pierwszym kurjerem przysłać, w trzy dni po twej ucieczce przybył drugi kurjer i przywiózł je. Była nominacja i dla ciebie — stopień porucznika i złoty krzyż za usługi.

Jaszczułd skoczył jakby go jadowita żmija ukąsiła.

— Łżesz! — wrzasnął chwytając porucznika za gardło, — drwisz ze mnie!

Kopestyński odtrącił go od siebie.

— Oficerskie słowo ci daję, że prawdę mówię — odrzekł spokojnym głosem.

— Prawda panie sierżancie — przyświadczył przystuchując się rozmowie stary Czyżyk.

Jaszczułd oboma rękami chwycił się za głowę.

— Oh ja nieszczęsny — jęknął głucho.

Zachwiał się na nogach.

— Dyabli się przysięgli na moją zgubę. Przepadło...

Z pałającemi oczyma zwrócił się do ułanów.

— Słuchajcie — mówił szeptem — jam już zgubiony człowiek, — ze mną się skończyło. Rozstrzelają mnie Austriacy, lecz was uratuję. W nocy przygotuję wszystkim... zostawię przy was kilku żoł-

nierzy z nienabitą bronią — rozbroicie ich i uciekajcie...

Oddychał ciężko, kurezowo pięści ścisnął — pragnął odkupić winy, choćby kosztem własnego życia.

— Szalony człowiecze — rzekł Kopestyński, szyderczym głosem — czy ty sądzisz, że Austriacy zaufali ci już zupełnie. Zdrajcom nikt nie wierzy. Wyślano cię z nami jedynie dla wypróbowania twej wierności i bądź pewny, że oddany ci pod komendę podoficer z pewnością ma tajną instrukcję w razie najmniejszego podejrzenia odmówić spełnienia twych rozkazów i kazać ci w łeb wypalić. Zresztą ja przynajmniej — dodał z dumą, — nie chcę wolności, ofiarowanej mi przez takiego, który swój własny kraj i naród zdradził.

Jaszczuśd spojrział nań błędnym wzrokiem, zatoczył się pod ścianę jak pijany i poszedł do karczmy, gdzie do późna w noc pił na umór, by zagłuszyć trapiące go wyrzuty sumienia.

XII.

W dwa dni później do austriackiego obozu przybył parlamentarz od Strzyżowskiego z zawiadomieniem, że rozejm został zawarty i kroki nieprzyjacielskie mają być wstrzymane. Wojska polskie jak i austriackie miały pozostać na zajmowanych dotychczas stanowiskach, Dniestr przyjęto jako linię demarkacyjną. Równocześnie Strzyżowski prosił listownie austriackiego wodza, by wydał mu wziętego w niewolę porucznika Kopestyńskiego.

Jaszczuśd, któremu pomimo okazywanej mu przez Kopestyńskiego wzdargi żal było dawnego kolegi — ucieszył się usłyszawszy o rozejmie. Był przekonany, że Mehrfeld go natychmiast uwolni, lub

wymieni za którego z wziętych przez Strzyżowskiego w niewolę austriackich oficerów. Lecz Kopestyński był dawniej austriackim oficerem i służył pod rozkazami Mehrfelda. Mściwy generał postawił go jako zdrajcę i zbiega pod sąd wojenny.

Z hardo podniesionem czołem stanął porucznik Kopestyński przed sądem.

— Przysięgałeś cesarzowi i na chodźcie? — zapytał go przewodniczący.

— Przysięgałem — brzmiała odpowiedź.

— Dlaczego zламаłeś przysięgę? Dlaczego z chwilą wybuchu wojny nie stałeś się w swym pułku?

— Wpierw byłem Polakiem niż austriackim oficerem. Wstąpiłem do waszego wojska, by się u was nauczyć sztuki wojσκowej, a gdy przyszła chwila, w której ojczyzna zapotrzebowała mego ramienia, oddałem się jej na usługi.

— Przyznajesz jednak, że już przy wstąpieniu miałeś złe zamiary — rzekł przewodniczący ostro. — Przysięgałeś fałszywie.

— Wedle waszego mniemania — odparł Kopestyński, patrząc audytorowi prosto w oczy. — Wyście także przyczynili się do rozszarpania naszego kraju. Wyście go wyniszczyli, znieprawili, wycisnęli podatkami, nasłaliście do nas hordy karyerowiczów, za rozkazem waszego cesarza tyle kościołów obrócono na koszary lub na budynki rządowe, staraliście się wydrzeć nam język ojczysty, a dziś żądacie od nas wierności?

Sędziowie milczeli, czuli, że ten człowiek mówi prawdę.

— Mości panie — przerwał mu audytor, — nie przyszliśmy tu słuchać kłania. Stoisz przed sądem, obwiniony o zdradę i zbiegostwo.

Kopestyński nabiegł krwią z oburzenia.

— Nie macie prawa sądzić mnie — zawołał groźnie — jestem polskim oficerem. Rozejm zawarty, odpowiecie za to przed rządem Księstwa Warszawskiego przed cesarzem Napoleonem.

Jenerał Mehrfeld rozśmiał się szederzo.

— Nim my odpowiemy, wprzód ty przed nami odpowiesz, mości oficerze polski.

Sąd wyszedł na naradę, — pomimo protestu rotmistrza von Hohenau, który chciał jeńca ocalić, skazano Kopestyńskiego na rozstrzelanie.

Gdy mu obwieszczono wyrok sądu, splunął i rzekł z pogardą:

— Mordercy — podpalacze!

Nie było dlań ratunku, dzielne ułany Strzyżowskiego byli daleko — aż w Monasterzyskach — rozejm był zawarty, Austriacy karali go jako zbiega z pod ich sztandarów.

Poszedł Jaszczułd do jenerała Mehrfelda, po chłopsku za kolana go ułapił i o życie dawnego kolegi zebrał.

— Ekscelencyo — prosił, — jak pies wiernie służyć ci będę — daruj tylko życie Kopestyńskiemu.

Lecz Mehrfeld nie znał litości — wyrok musiał być wykonany.

Z rozjaśnioną twarzą stanął Kopestyński przed lufami karabinów. Zdarto zeń galonki oficera, przełamano szablę nad jego głową...

Gdy Jaszczułd się doń zbliżył, chcąc uścisnąć mu dłoń na pożegnanie, porucznik odtrącił go od siebie, mówiąc:

— Precz szwabski jurgieltniku!

Rozdarł mundur na piersi, kask ułański w górę podrzucił i zawołał do żołnierzy:

— Strzelajcie!

Sześć kul go przeszyło — bez jęku zwał się na ziemię.

Pochowano go za tłumackim cmentarzem.

W tym samym dniu jenerał Mehrfeld kazał Jaszczułdowi naszyć sobie oficerskie szlify.

Lecz ani awans na podporucznika, ani względy jenerała nie zadowolniły naszego eks-ułana. Otwierała się przed nim kariery, mógł iść w górę i drapać się po szczeblach hierarchii wojskowej coraz wyżej.

Zgryzota i wyrzuty sumienia trapiły go co dzień dotkliwiej. Żał mu było dawnych towarzyszy broni, żał granatowego munduru z amarantem, żał czerwono-białej chorągiewki u lancy.

Był zdrajcą kraju.

Ten wyraz przyłgnał do niego. Słyszał go w dzień i w nocy, zadawało mu się, że nawet ostatni szeregowiec w jego plutonie patrzy nań z pogardą. Szukał ukojenia w wodce.

W końcu zbiesił się.

Przepowiednia rotmistrza von Hohenau spełniła się — w trzy tygodnie po rozstrzelaniu Kopestyńskiego, pewnej nocy *Lieutenant* Jaszczułd znikł z obozu.

Umknął do Turcyi...

XIII.

Umilkły surmy bojowe — pokój w Schönbrunnie został zawarty, część Galicyi wcielono do Księstwa. Smutek i zwątpienie rozlewały się nad galicyjskiem Podolem, które tyle ofiar poniosło, krwi nie szczędziło, a teraz w myśl traktatu pozostawało przy Austrii. Smutnie grały ułańskie trąbki szwadronów Strzyżowskiego, gdy im przyszło żegnać Podole i iść do Zamościa. Szumną odezwą żegnał jenerał Roźniecki „przeznaczonych i szanownych obywateli Galicyi“, kazał im ufać łasce cesarza Franciszka.

Z największym pono żalem opuszczał Podole pan Strzyżowski — to Podole, które niemal własną ręką zdobył. Osobiście poszczęściło mu się, gdyż mimo za wiści i intryg jego nieprzyjaciół, miano wany został pułkownikiem kirasyerów, a w r. 1812 poszedł dalej za orłami Napoleona i walczył przy boku Murata i króla saskiego*). Po skończonej kampanii powrócił do kraju, ożenił się z swą ubóstwianą Emą Potocką, osiadł w Podlaskiem i gospodarzył**).

Niejednokrotnie dowiadywał się pan pułkownik, co się dzieje z jego byłym podkomendnym Jaszczułem. Nikt mu nie umiał powiedzieć. Aż raz ktoś, wracając z długiej wędrowki po obcych krajach, przywiózł wiadomość, że Jaszczuł służy w wojsku padyszacha, zmienił pono wiarę i dosłużył się stopnia majora.

Mijały lata...

Znów nadeszła taka chwila, że trzeba było siadać na koń — przyszła nowa zawierucha.

Nie lenił się i pan Strzyżowski. Pod Konstantym służyć nie chciał, lecz teraz gdy noc listopadowa „płomieniem buchnęła“, wyruszył w pole. Objął komendę nowoformującego się pułku konnych Mazurów.

Góra z górą się nie zejdzie — powiada przysłowie, — a człowiek z człowiekiem przecie.

Pewnego dnia zgłosił się do pana Strzyżowskiego starszy, poważny człowiek, z długą, siwą, na piersi spadającą brodą. Strzyżowski zmierzył go bacznym spojrzeniem i zapytał, czego sobie życzy.

*) Pamiętniki Leona Dembowskiego. Ate-neum 1882.

**) St. Schnür-Peplowski. Z przeszłości Galicyi.

— Przyszedłem zmyć dawne grzechy — rzekł nieznajomy. — Chciałbym wstąpić do pułku jako ochotnik.

Dziwna i zagadkowa odpowiedź zaintrygowała pana Strzyżowskiego. Przyglądał mu się uważnie, coś majaczyło mu się w umyśle, zdawało mu się, że znał i widział gdzieś tego człowieka, lecz nie mógł sobie przypomnieć.

Naraz nieznajomy huknął gromko :

— Zagrobela, Tarnopol, Wieniawka... Nie poznajesz mnie panie szefie?

To rzekłszy runął z płaczem do nóg Strzyżowskiego.

— Jaszczuł, na Boga Jaszczuł! — krzyknął Strzyżowski drżącym ze wzruszenia głosem, podnosząc go z ziemi i biorąc go w objęcia.

Strzyżowski zawsze czuł słabość do niego — dawno mu zdradę i zbiegostwo przebaczył.

Po zoranych bruzdami policzkach starego wiarusa płynęły łzy żalu, skruchy i radości.

— Więc nie odrzucasz mnie panie szefie — mówił przez łzy, — więc nie gardzisz zdrajcą? Tyle lat — tyle lat męki i wyrzutów sumienia, tyle bezsennych nocy za jedną chwilę zapomnienia. Żałł mnie ten robak długie lata, nie zagłuszyła go wódka, nie zagłuszyły hulaszce noce. Wspomnienie zdrady i odstępstwa ściagało mnie na każdym kroku. Dostałem się do Turcyi, wstąpiłem do wojska... Gdzieś był, com przechodził — trudno mi dziś opowiedzieć. Dosłużyłem się stopnia bimbaszy*). Tęsknota za krajem przywiodła mnie z powrotem. Wróciłem przed trzema laty pod obcem nazwiskiem, nikt mnie nie poznał. Widocznie zmieniłem się — dodał z goryczą.

*) bimbasza = major.

Strzyżowski nie miał odwagi czynić wyrzutów temu moralnie złamanemu człowiekowi. Ucisnął dłoń jego i rzekł mu na pocieszenie:

— Szczera pokuta maże dawne winy. Masz sposobność obmyć je w krwi starego wroga.

Jako prosty żołnierz wstąpił Jaszczułd do pułku. Z chwilą wdziania polskiego munduru wróciła mu dawna fantazyja ułańska. Ten stary, zgnębiony przeciwnościami losu człowiek — odżył, rozruszał się. Odznaczył się chlubnie w wielu potyczkach, w sławnym boju pod Iganiami mianowany został rotmistrzem.

Aż przyszła kreska i na niego. W potyczce pod Suchą, gdy z swym szwadronem uderzył na cały pułk rosyjskich dragonów, kula z pistoletu przeszła mu pierś na wylot.

Nadbiegł Strzyżowski z całym pułkiem; odparto dragonów, zwycięstwo zostało przy naszych.

Z spokojem na twarzy konał stary żołnierz. Lekką i piękną śmierć jego była.

Dokoła niego zgrupowali się młodzi koledzy, Strzyżowski dłoń jego w rękę trzymał i płakał jak bóbr, — do snu wiecznego grały mu trąbki ułanów i Mazurów, nad jego głową furkotały dwubarwne chorągiewki.

— Krew myje winy... wszak prawda pułkownika?... — pytał słabym głosem.

— Ty je już dawno zmyłeś, stary druhu — odparł Strzyżowski łkając.

Stary wiarus z wysiłkiem dźwignął się z ziemi. Na jego twarzy igrał błogi uśmiech.

— Hej trębacze — zawołał z mocą, — grajcie mi marsz Dąbrowskiego!...

Z rany krew obficie trysnęła, zabarwiła świeżo nałożone bandaże.

Zagrzmiała huczna trąbek fanfara. Umierający wstuchiwał się w te dźwięki, marzyły mu się może w tej chwili boje na italskich polach, a gdy trębacze marsz do końca dograli — Jaszczułd już nie żył.

Ciężką była jego przewina — zbłądził w pierwszej chwili uniesienia, lecz i srodze odpokutował swój błąd.

Dusza jego stanęła przed Bogiem oczyszczona z grzechów i nieprawości... Oddał życie w obronie wolności kraju, zginął jak prawy syn ojczyzny.

KONIEC.

